

POLITYKA

Czy demokracja w Polsce utrzyma się?

cz. II

Budowa demokracji, czy jakiegokolwiek innego ustroju, to skomplikowany, kosztowny i długotrwały proces. Warunki wewnętrzne i zewnętrzne, w jakich przebiega, pomijając już plany architektoniczne i samo kierowanie budowlanym przedsięwzięciem, mogą w ostatecznym rachunku zadecydować o takim czy innym jego finale.

Co więcej, bardzo istotny jest tu także sam start do podejmowanego dzieła.

W Polsce, gdzie są już historyczne doświadczenia z takiego startu, jako że w ostatnich dwustu latach dwukrotnie zabierała się ona do budowy demokracji, analogie i różnice startowe są wielce pouczające.

Zacznijmy od analogii.

Pierwszą i najważniejszą analogią były niemal powszechne w narodzie pragnienia zmian istniejących dotąd porządków oraz nadzieje na szybką poprawę bytu, nie tylko materialnego.

Drugą analogią było z kolei też niemal powszechne pragnienie poniesienia wyrzeczeń i ofiar na rzecz oczekiwanych przemian.

I na tym właściwie koniec. Inne analogie były już o mniejszym ciężarze gatunkowym i nie zawsze mogą być ze sobą porównywalne ze względu na odmienną historię warunków.

Natomiast, co się tyczy różnic, to było

Sachs, żeby podłożyć bombę w postaci "terapii szokowej" pod mający powstać gmach demokracji polskiej, ale to już co innego i o tym fakcie napiszę przy innej okazji.

W ogóle zaś, o czym już wspominałem w poprzednim odcinku artykułu, narodziny III RP odbywały się na raty i nawet dokładnie nie wiadomo, kiedy się ona narodziła.

Rzecz jasna, w momencie rodzenia się III RP, nie było, tak jak miało to miejsce w czasie rodzenia się II RP, żadnego uniesienia narodowego. Zgoda, była jakaś tam radość z czerwcowego zwycięstwa w wyborach 1989 r., ale gdzie jej tam było do aury powszechnego upojenia z listopada 1918 r. ...

Zresztą, czerwcowe zwycięstwo, przy bliższej analizie wyników wyborów, żadnym zwycięstwem właściwie nie było, a niby pokonana PZPR ewidentnie sama przecież zabiegała o swoją klęskę.

Po trzecie, zwycięska "Solidarność", nie tak jak POW i inne siły patriotyczne z listopada 1918 r., władzy brać nie chciała, ani też nikogo nie rozbrajała i z nikim o nic nie walczyła. Wojska sowieckie stacjonowały sobie w najlepsze w Polsce i wokół niej, "Solidarność" ich nie rozbrajała, ani nawet nie prosiła o wyniesienie się za Bug. Przeciwnie, solidarnościowy potem premier, Tadeusz Mazowiecki, kiedy to jednoczące się

bogate doświadczenie w działaniu i wiedziały czego chciały.

Nic takiego nie miało miejsca w III RP. W kraju istniały tylko partie reżimowe, głównie PZPR, które faktycznie żadnej przeciwwagi politycznej nie miały. "Solidarność" żadną przeciw partią polityczną nie była, a jedyną taką niereżimową partią była co najwyżej KPN, która zresztą w momencie rodzenia się III RP była ledwie zauważalna. Co więcej, w świetle późniejszych rewelacji ujawnionych przez "listę Macierewicza", nawet i ten fakt jest podejrzany.

Po siódme, co częściowo już wspominałem powyżej, państwowość polska w momencie rodzenia się III RP, choć anormalna, była jednak faktem. I właśnie wokół niej zaczęły się dziać jakieś dziwne rzeczy. Raptem bowiem, poza nielicznymi wyjątkami, dotychczasowa opozycja, przede wszystkim sam nowy premier Mazowiecki, zaczęła mówić o "ciągłości państwowej", o "grubej kresce" itp. Ba, nawet przeciwnicy takiej gadaniny, różni Macierewicze, Kaczyńscy (chodzi tu o Jarosława), czy Olszewscy, dołączyli swoje głosy do tego chóru, też mówiąc o "tajemnicach państwowych", tych perelowskich przeciw, które powinny być zachowane. A dlaczego niby? Ano, tego nie można się było dowiedzieć.

omen dla polskiej demokracji, ale póki co nie zdawano sobie z tego sprawy.

W ogóle zaś, to przyszedł wódz, czyli Wałęsa, jakoś przycupnął i ewidentnie nie rwał się do żadnej walki. A jak wiadomo, nie kandydował też nawet do "kontraktowego Sejmu", czy solidarnościowego Senatu, skąd mógłby przeciw grzmieć na prawo i lewo. Krył się też po różnych dziurach prowincjonalnych i jak to potem pisał Jarosław Kaczyński, musiał go on szukać i namawiać do brania władzy (Kaczyński pewnie nie wiedział, że to inni o tym decydowali, ale warto to przypomnieć).

W każdym razie, III RP miała albo wielu różnych wodzów i to różnej proveniencji, a lista ich ciągle się wydłużała o Geremków, Michników, Kuroniów, Balcerowiczów itp., albo nie miała właściwie żadnych, aż do I "wojny na górze", którą z własnej woli, czy też na jakiś tajemny sygnał, rozpoczął Wałęsa i w końcu ją wygrał, albo myśli, że wygrał. Jak pamiętamy, wojna miała przebieg przedziwny i niewiele brakowało, a byłby ją przegrał z nikomu przedtem nieznanym Stanisławem Tymińskim, który o sprawę polską walczył dotąd w dżunglach południowoamerykańskich i w biurach kanadyjskich miast, ale kto by tam coś takiego brał pod uwagę... Głównie starcie, o posmak wojny demokracji, dokonało się jednak pomiędzy

terialnego.

Drugą analogią było z kolei też niemal powszechne pragnienie poniesienia wyrzecz i ofiar na rzecz oczekiwanych przemian.

I na tym właściwie koniec. Inne analogie były już o mniejszym ciężarze gatunkowym i nie zawsze mogą być ze sobą porównywalne ze względu na odmienność historycznych warunków.

Natomiast, co się tyczy różnic, to było ich dużo i to o zasadniczym znaczeniu.

Po pierwsze, o ile II RP wylaniała się z długiej narodowej i państwowej niewoli, to III RP była przecież formalnie niepodległa. Nie tak też jak II RP, która się narodziła na jednej trzeciej jej późniejszego terytorium, a o swoje granice musiała zbrojnie walczyć, III RP już od dziesiątków lat miała istniejące granice i o nic nie musiała walczyć.

Również państwowość w spadku po PRL, choć anormalna, istniała już od dziesiątków lat i była solidnie ugruntowana, o wiele bardziej, jak to się teraz okazuje, niż sobie to niektórzy naiwnie wyobrażali.

Po drugie, sam fakt narodzin II i III RP też wykazuje brak podobieństw. II RP narodziła się w ciągu kilku listopadowych dni w 1918 r., gdzie punktem kulminacyjnym był przyjazd Piłsudskiego z twierdzy magdeburgskiej na dworzec warszawski i kiedy to Rada Regencyjna, sama z własnej woli, przekazała władzę na jego ręce. Wydarzenie to zbiegło się dodatkowo z końcem I wojny światowej, co oznaczało kres obecności niemieckich i austriackich wojsk na ziemiach polskich.

Nic takiego nie miało miejsca w momencie rodzenia się III RP.

Wałęsa, taki "Piłsudski A.D. 1989", do Warszawy nie zjeżdżał ze swojej twierdzy gdańskiej, ani też nikt żadnej władzy na jego ręce nie składał. Prawda, zjeżdżał on do stolicy już od kilkunastu miesięcy, nieraz nawet cichcem, spotykał się z Kiszczakiem, a także brał udział, najczęściej zakulisowy, w magdalenkowych konwektyklach, ale triumfalnie do stolicy nie zjechał i władzy za jednym zamachem nie przejął.

Zjechał do stolicy natomiast, o czym mało kto wiedział, 32-letni wówczas Jeffrey

Po trzecie, zwycięska "Solidarność", nie tak jak POW i inne siły patriotyczne z listopada 1918 r., władzy brać nie chciała, ani też nikogo nie rozbrajała i z nikim o nic nie walczyła. Wojska sowieckie stacjonowały sobie w najlepsze w Polsce i wokół niej, "Solidarność" ich nie rozbrajała, ani nawet nie prosiła o wyniesienie się za Bug. Przeciwnie, solidarnościowy potem premier, Tadeusz Mazowiecki, kiedy to jednoczące się Niemcy zaczęły coś kręcić ze swoją granicą z Polską, nawet prosił wojska sowieckie o pozostanie na jej terytorium, a sekundował mu w tym sam gen. Jaruzelski.

Co więcej, "Solidarność" sama uznała się przecież za "konstruktywną opozycję" i wraz z jej wczorajszymi przeciwnikami, w wyniku ugody "okrągłego stołu", zgodziła się wspólnie działać dla ogólnego dobra narodu. Prawda, jakieś tam obietniczki do tej ugody od siebie dodała, z których potem, ni by po objęciu władzy, nie mogła się wywiązać, z czego wyniknęły znane już skutki, ale to już co innego.

Po czwarte, gen. Jaruzelski z Warszawy chyłkiem nie tylko nie uciekał stateczkiem wiślanym, jak to uczynił gen. Beseler prawie siedemdziesiąt lat wcześniej, ale jeszcze zwycięska niby "Solidarność" pomogła swoimi głosami w Zgromadzeniu Narodowym wybrać go prezydentem III RP, co automatycznie uczyniło go na samym już starcie Głównym Budowniczym demokracji polskiej, rzecz o olbrzymim znaczeniu dla jej przyszłych losów.

Po piąte, wkraczający na drogę demokracji kraj był ciągle jeszcze w Układzie Warszawskim i RWPG, miał różne jawne i niejawne więzy z ZSRR, a peerelowskie władze były ciągle jeszcze bardzo silne, choć już, bezszmerowo prawie, przenosiły się na nowe pozycje strategiczne, starych zresztą też nie porzucając.

Po szóste, rodząca się II Rzeczpospolita od początku miała już względnie wykrystalizowaną scenę polityczną. Już pod zaborami bowiem powstały liczne partie polityczne, lewicowe, prawicowe i centrowe, które choć początkowo słabe liczebnie, miały jednakże

sar nowy premier Mazowiecki, zaczęła mówić o "ciągłości państwowej", o "grubej kresce" itp. Ba, nawet przeciwnicy takiej gadaniny, różni Macierewicze, Kaczyńscy (chodzą tu o Jarosława), czy Olszewscy, dołączyli swoje głosy do tego chóru, też mówiąc o "tajemnicach państwowych", tych peerelowskich przecież, które powinny być zachowane. A dlaczego niby? Ano, tego nie można się było dowiedzieć.

Po ósme wreszcie, bardzo istotna różnica pomiędzy narodzinami obu republik wystąpiła w dziedzinie przywództwa.

W przypadku II RP, takim na ogół niekwestionowanym przywódcą był Józef Piłsudski, którego osoba była otoczona nimbem bohaterstwa. Naród, walczący o zachowanie swojej młodej niepodległości i chcący też wyrąbania dla Polski korzystnych granic, potrzebował przede wszystkim wodza naczelnego, o wiele bardziej niż budowniczego demokracji, człowieka zdolnego go zorganizować i poprowadzić do walk na polu bitwy, a nie do rozgrywek politycznych w pierwszym rzędzie.

Nic takiego nie miało miejsca w czasach rodzenia się III RP. Żaden wódz naczelny nie był do niczego potrzebny, a jeśli już, to przecież kapral rezerwy Lech Wałęsa na nic takiego się nie nadawał. Lepszy już mimo wszystko byłby tu gen. Wojciech Jaruzelski.

Tak czy inaczej, żadnego wodza nie było w 1989 r., a jeśli "Solidarność", czy licho wie kto naprawdę chciała go istotnie wykreować, to wybór Mazowieckiego na premiera, formalnie jej osobę nr 1 w państwie, był co najmniej zastanawiający. W przeszłości jakiś katolicko-komunistyczny gryziopiórek, potem parodniowy weteran styropianowych ąkopów "Solidarności", wreszcie ugrzeczniiony więzień w "stanie wojennym", Mazowiecki na żadnego wodza nie wyglądał od samego początku. Nawet się podobno nie rwał do żadnego wodzowania, a na trybunie sejmowej, kiedy już w końcu wziął się za nie, to po prostu zemdlał...

Prawda, potem nabrał raptem wigoru, czym zadziwił nawet samego Wałęsę, ale w sumie był to wódz bezbarwny, z twarzą męczennika i smutnymi oczami... Zły był to

też na jakiś tajemny sygnał, rozpoczął Wałęsa i w końcu ją wygrał, albo myśli, że wygrał. Jak pamiętamy, wojna miała przebieg przedziwny i niewiele brakowało, a byłby ją przegrał z nikomu przedtem nieznanym Stanisławem Tymińskim, który o sprawę polską walczył dotąd w dżunglach południowo-amerykańskich i w biurach kanadyjskich miast, ale kto by tam coś takiego brał pod uwagę... Główne starcie, o posmak wojny domowej, dokonano się jednak pomiędzy Wałęsą a Mazowieckim, co nie tylko było klęską "Solidarności", ale także, obawiam się, polskiej demokracji, choć pełnia tej klęski jest jeszcze przed nami.

Tak więc, po tym nieco przydługim wliczeniu różnic pomiędzy startem obu RP do dzieła budowy demokracji w Polsce, czas wreszcie przejść do samej jej budowy.

Sprawy społeczno-gospodarcze, które mogą być decydujące dla tego przedsięwzięcia, w ogóle nie będą poruszone w tym artykule, gdyż będą one przedmiotem innego. Również sprawy wpływów zewnętrznych na przedsięwzięcie pozostawiam chwilowo na uboczu, jako że wspomnę o nich w następnym odcinku artykułu.

Natomiast uwagę naszą należy skoncentrować na zagadnieniu, o którym ogólnie wspominałem w poprzednim odcinku, tj. zagadnieniu wzajemnych relacji na osi państwo-partia. Zagadnienie to może, choć nie musi, zadecydować o takim czy innym przebiegu procesu tworzenia demokracji polskiej.

Nie wchodząc już w różne i ciągle nieznanne nam przyczyny rezygnacji partii komunistycznych ze sprawowania jawnej władzy w krajach b. bloku sowieckiego, faktem jest, że od takiej władzy one się odsunęły. Na placu boju pozostało zatem państwo, ze swoją bardzo rozbudowaną, doświadczoną i fachową biurokracją, nie mówiąc już o państwowym aparacie ucisku, "kompleksie wojskowo-policyjnym", nad którym nikt właściwie w PRL nigdy kontroli nie miał (poza moskiewskim nadzorcą).

Co więcej, peerelowskie państwo, na sygnał do zmian, jeszcze na lata i miesiące przed "okągłym stołem", zaczęło się usadawiać, o czym już wspominałem częściowo

POLITYKA

powyżej, na nowych pozycjach strategicznych, głównie w "prywatyzowanej" gospodarce, choć starych pozycji też nie opuściło.

W każdym razie, w związku ze znanym losem reżimowych partii, relacje na osi państwo-partia zaczęły się coraz korzystniej kształtować dla państwa. W czasach PRL, gorzej czy lepiej, partia próbowała jeszcze sprawować kontrolę nad państwem. Niewiele z tego wychodziło w praktyce, ale było przynajmniej wrażenie takiej kontroli.

W III RP sprawy zmieniły się diametralnie. Stare reżimowe partie, tj. b. ZSL, które przepoczwarzyło się cudownie w PSL, czy b. PZPR, która przeistoczyła się w SdRP, jeszcze wiedzą jak układać swoje stosunki z państwem, ale partie niereżimowe, te nie wchodzące do koalicji rządzącej, nie mówiąc już o tzw. partiach pozaparlamentarnych, nie są żadnym dla niego partnerem.

Tak więc, państwo postawiło się całkowicie, lub prawie całkowicie, ponad partiami.

Zjawisko to, o czym wspominałem już w poprzednim odcinku artykułu, jest bardzo niekorzystne dla procesu budowy demokracji. Żadne państwo bowiem, a raczej jego biurokracja, nie jest zainteresowane, nawet w krajach tzw. dojrzałej demokracji, w jakiegokolwiek kontroli nad sobą, parlamentarnej, partyjnej, kościelnej czy każdej innej. W dojrzałych demokracjach państwo toleruje jeszcze kontrolę parlamentarną, ale parlament, to w końcu też część państwa. W USA

np., szerokopojęty "rząd", tj. Government, oznacza urząd prezydenta, Kongres i Sąd Najwyższy, czyli w sumie państwo.

Co gorsza, o czym też już wspominałem w innym miejscu, partie polityczne, przynajmniej w tradycji Europy kontynentalnej, po dostaniu się do parlamentu stają się raptem "państwowe" i zamiast kontrolować rząd, czyli państwo, to przeciwnie - utożsamiają się z nim.

W III RP zjawisko to stało się powszechne. Różni działacze partyjni, głównie ci z b. opozycji, licytują się między sobą na temat swojej lojalności wobec "państwa", które jakoby istnieje samo w sobie, w oderwaniu od politycznych uwarunkowań, a nawet samo będące jakąś "mega-polityką", życiodajnym słońcem, wokół którego krążą na orbicie planety-partie...

A państwo, niestety, nie potrzebuje żadnej demokracji dla swojego istnienia. Jak to już dowodził Parkinson, instytucja licząca powyżej tysiąca osób ma już wystarczające zajęcie dla załatwienia swoich własnych spraw i reszta jest dla niej zbędna. A państwo przecież, to znacznie większa instytucja od tej parkinsonowskiej.

Zresztą, wszyscy apologety państwa, nawet działacze polityczni, którzy przysięgali mu koniec po dorwaniu się przez nich do władzy, są przecież tylko ludźmi. A ludzie, jak to odkrył już przed wiekami Epikur, chcą przede wszystkim żyć, a skoro żyją, to chcą żyć dobrze i wreszcie, gdy już dobrze im się żyje, to chcą żyć jeszcze lepiej...

Stąd też różni ongiś niereżimowi działacze polityczni w Polsce, bo sprawa z tymi reżimowymi jest oczywista, w momencie dorwywania się do władzy stają się płomiennymi zwolennikami państwa, gdyż wiedzą doskonale, że zwyczajnie będzie im się wtedy żyć lepiej! W państwie niedemokratycznym władza jest ponadto bardziej uprzywilejowana od wszystkich innych warstw społecznych i stąd nie jest zainteresowana w demokracji. W ostateczności może jeszcze stworzyć jakąś "kierowaną demokrację", czyli zachować prymat państwa nad partiami i ruchami politycznymi, ale po co miałyby się rwać do prawdziwej demokracji?

No właśnie, po co? Nikt oczywiście tego otwarcie nie mówi, ale w III RP wszystkie ważniejsze partie jak jeden mąż uderzają w nutę państwową. Nawet Janusz Korwin-Mikke, przywódca URP i niechętny państwu, popiera bez reszty wojsko i policję, a wszyscy inni też chcą tylko "silnego państwa". A o "silnych partiach", przeciwwadze dla takiego państwa, jakoś nic nie słyhać.

"Silne państwo", to dla jednych rządy prezydenckie, dla drugich gabinetowe, jeszcze dla innych parlamentarno-gabinetowe, czy odwrotnie, ale różnice nie są tu aż tak ważne, a głoszone punkty widzenia zależą od punktu siedzenia. Zmiana punktu siedzenia, tak mierniam, spowoduje zmianę punktu widzenia.

Tak czy inaczej, choć nie chciałbym być pesymistą, nie widzę w III RP żadnych sił politycznych, dosłownie żadnych, które były-

by autentycznie zainteresowane w budowie demokracji, najlepiej parlamentarnej, choć i ta w konkretnych warunkach polskich mogłaby wkrótce zamienić się we wszystko, ale nie w demokrację angielską. Nie te bowiem tradycje i nie ta setkami już lat kształtowana kultura polityczna...

Cóż więc robić w istniejącej sytuacji? Dać sobie spokój z budową demokracji, gdyż już jest na nią za późno ze względu na zbyt skonsolidowane państwo?

No cóż, z góry nie wolno się poddawać, ale też trzeba bardzo konkretnie przeanalizować wszystkie "za" i "przeciw" omawianej budowy, a nie operować tylko zakłębieniami i ogólnikami.

W następnym i ostatnim już odcinku, spróbuję dokonać takiej analizy, analizy wewnętrznych warunków politycznych pod kątem istnienia partii i ruchów, które są zainteresowane w stworzeniu przeciwwagi dla państwa w postaci silnego parlamentu oraz silnych partii o orientacji demokratycznej. Zobaczymy wtedy czy są istotnie takie partie i ruchy.

Inna sprawa, która też jest żywotnie ważna dla procesu budowy demokracji w Polsce, tj. sprawa wpływu na nią sytuacji zewnętrznej, też musi być koniecznie poruszona, gdyż jest ona, przynajmniej w moim przekonaniu, nawet ważniejsza od tej pierwszej.

Zdzisław M. Rurarz